Nr. 17. Lwów dnia 25. Maja 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia Ka. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francyi,

przez

WACŁAWA GASZTOWTA.

(Ciąg dalszy.)

Pomijając jako mniejszej wagi poezye Odyńca, Korsaka i Chodźki, przystępuję do dzieł poetów ukraińskich Malczewskiego i Goszczyńskiego, a mianowicie do poematów „Maryi“ i „Zamku Kaniowskiego,“ w których łatwo rozeznać dwa żywioły, pierwszy naśladowany z poetów angielskich, a szczególniej Byrona, a stanowiący tylko zewnętrzną formę i jakoby budowę, architektonikę poematu, drugi zaś polsko-ukraiński objawiający się tak w wyborze przedmiotu, jak w nastroju ducha każdego poety. Podczas kiedy pierwszy opiewa melancholijnie rozległe stepy ukraińskie, i przysłuchuje się podziemnym głosom zmarłej przeszłości, opowiadając zbrodnię dumnego magnata, drugi zalewa te same stepy krwią szlachecką wylaną pod nożem hajdamaków. Malczewski, rozmarzony kochanek smutnej a pięknej Ukrainy, patrzy na nią z gotyckiego okna zamku i wszystkie jej boleści chwyta, jak powiada Słowacki: „słuchem anioła i myślą anioła;“ opisy jego oddają szczególniej stronę duchową obrazu, materyalne szczegóły nikną prawie w tej idealnej pieśni, więcej stosunku mającej z muzyką niż z malarstwem. Goszczyński zaś mimo fantastyczności obrazów, mimo zgrozy, jaką napełnia duszę czytelnika, maluje naturę ukraińską bardziej realnie, obyczaje ludu, wściekłość rozjuszonych Kozaków i chłopów, rozpustę panów i półpanków w całej prawdzie i w całej nagości przedstawiając, tak że przeczytawszy poezye Zalewskiego, Malczewskiego i Goszczyńskiego, mamy przed oczyma tę samą Ukrainę, ale z innego stanowiska, innymi kolorami odmalowaną — a zawsze nęcącą nas czarem swoim niewypowiedzianym, poetycznością swoją tak głęboką i tak rozmaitą.

Jest to w rzeczy samej jedna z najwybitniejszych różnic, jakie nas uderzają w porównaniu romantycznej poezyi polskiej i francuzkiej w tej pierwszej epoce: poezya polska nietylko że jest czysto-polską, podczas kiedy francuzka jest więcej humanitarną i kosmopolityczną, ale jeszcze ta pierwsza dzieli się na trzy główne działy, odpowiadające trzem dzielnicom dawnej Rzeczypospolitej, to jest na poezyę litewską, ukraińską i mało polską, bo Wielko-polska jeszcze zostaje wierną klasycyzmowi, wtenczas kiedy francuzka poezya nie zna tych różnic. Centralizacya wydała tu swoje owoce; wszyscy poeci z Paryża śpiewają dla całej Francyi, możnaby nawet powiedzieć dla całej Europy. W ostatniej chwili przed powstaniem Listopadowem, Warszawa będzie wprawdzie ogniskiem ruchu literackiego, zbiorą się tam prawie wszyscy poeci nasi z wyjątkiem największego z nich, ale inne już cele narzucają się ich działalności; praca polityczna staje się ich głównem zadaniem — poezyę zaś czerpali każdy z prowincyi swojej.

Ztąd może w części pochodzi i cecha narodowa poezyi naszej. Narodowość bowiem w poezyi nie na tem tylko zależy, aby miano ogólne pojęcie o powinnościach wszystkich obywateli, wynikających z obecnego położenia politycznego ojczyzny: to wystarcza dla polityki dziennikarzy lub mężów stanu; ale poezya, którąby na tem ograniczyła swoje narodowe widoki, wydałaby tylko pamflety i satyry polityczne, mogące być bardzo pożytecznymi, jak nimi były naprzykład pieśni Delavigne'a lub Béranger'a poetyczna wojna krzyżowa za Grecyą, nie wyrażające jednak w całej pełni duszy całego narodu. Naród składa się z różnych części składowych, jak ciało składa się z członków, jak harmonia składa się z akordów: poezya narodowa powinna więc być taką właśnie harmonią skupiającą w jedno ognisko różne oddźwięki wszystkich dzielnic kraju z wszystkich sfer jego duchowych. Rozmaitość jest równie jej potrzebną, jak jedność.

Jedność ta była zresztą najzupełniejszą. Jedno wyższe natchnienie góruje nad wszystkiemi innemi. Piewca Grażyny, jak piewca Wiesława, autor Dum i Rusałek, jak poeta Maryi i twórca Zamku Kaniowskiego mają jeden ideał: a tym ideałem jest — ojczyzna. Napróżno naśladują Byrona, lub Goethego, lub Schillera, napróżno opiewają bliską lub daleką przeszłość, wszyscy

mają oczy zwrócone ku przyszłości, wszyscy dla niej pracują, budząc w sercach każdy po swojemu miłość do Polski nieszczęśliwej i żądzę odzyskania niepodległości.

Nie tak jest we Francyi; a różnica położenia politycznego nie wystarcza do wytłumaczenia tej różnicy stanowiska. Niektórzy krytycy francuzcy, a między innymi p. Nisard (*Histoire de la littérature française*) uważają bardzo słusznie, że literatura francuzka, tak jak i rzymska w starożytności, nie zamyka się nigdy ściśle w granicach narodowości, że jest prawie zawsze ogólno-ludzką, że rozbiera kwestye obchodzące ludzkość całą, że we filozofii dąży za prawdą, w sztuce za pięknem, nie troszcząc się o siebie, bezinteresownie, że tak powiem, nie znając egoistycznego partykularyzmu, jaki niektórym narodom zarzucić można. Uwaga ta słuszną jest, powtarzam, i głęboką chociaż należy dodać do jej uzupełnienia, że, mimo wszystkiego, odrębny gieniusz narodu francuzkiego bezwiednie odbija się w tej bezinteresownej dla ludzkości pracy: że goniąc w filozofii za prawdą, poprzestaje na takiej tylko prawdzie, która jest umysłowi francuzkiemu przystępną, a którę nazywają *vérité de sens commun* i że goniąc w sztuce za pięknem, musi także podlegać wpływom historycznym i miejscowym, które jej zmysł estetyczny często spaczają, i tworzą sztukę, do której inne narody przyznaćby się nie powinny. Takiem naprzykład zjawiskiem była tragedya klasyczna w XVII wieku. Co do dążności samej literatury francuzkiej, jest ona niezaprzeczenie w ogóle taką, jak ją określają wyżej wspomnieni krytycy.

Ale nie idzie za tem, jak oniby chcieli wmówić w czytelników, żeby to stanowiło wszechstronną wyższość literatury francuzkiej po nad wszystkiemi innemi, więcej narodowemi, mniej przystępnemi wszystkim, jaką jest np. poezya nasza XIX wieku. Pracować dla ludzkości, jest bez wątpienia najwyższem zadaniem każdego człowieka i każdego narodu: ale pierwszym właśnie szczeblem tej pracy, jest dla każdego rozwinięcie własnych sił i utrzymanie własnego istnienia: można ludzkości przysłużyć się tylko samym sobą, a myśleć o sobie, jest to myśleć o wszystkich. Wszak człowiek ma powinności względem siebie, od których zawisły powinności jego względem drugich. Tak się rzecz ma i z narodami. Polska o tem zapominała zbyt często i to było jedną z przyczyn jej upadku. Kto wie, czy ta mniemana bezinteresowność, która zazwyczaj nie idzie bez wielkiej pychy i zarozumiałości, nie gotuje Francyi takiegoż upadku?

Nie zapominając więc bynajmniej wielkich zasług położonych przez Francyę dla ludzkości tak na literackiem jak na politycznem polu, podziwiając nawet dążność jej literatury, dodać należy, że dążność ta ogólno-ludzka powinna istnieć w każdej literaturze, ale przy drugiej dążności czysto narodowej. A wracając do naszego przedmiotu powiedzielibyśmy, że pierwsza powinna się szczególniej objawiać w p r o z i e, druga zaś w p o e z y i. Pod względem prozy francuzka literatura może śmiało uchodzić za najpierwszą w świecie, to prawda, słusznie Michelet nazwał gdzieś Francyę *le pays de la prose.* Ale nie uważając wprowadzenia prozaiczności owej do poezyi za postęp, powinniśmy przyjść do tej konkluzyi, że nawet poezya romantyczna francuzka, jak dawniej klasyczna, jest raczej prozą artystycznie, po mistrzowsku rymowaną, prozą przyjemniejszą, silniejszą lub wdzięczniejszą, ale prozą tylko. Polska zaś, która nie jest niestety krajem prozy ani w literaturze, ani w polityce, jest za to krajem poezyi, a jej rozrost potężny w XIX wieku można uważać za najszczytniejszy owoc poezyi, jaki ludzkość wydała od biblijnych czasów.

Rozbieranie następującego okresu lepiej jeszcze to wykaże: bo każda z poezyi, o których mówimy, po roku 1830 lepiej uwydatnia dążność swoją i kierunek.

(C. d. n.)

CYD,

według Romancero Hiszpańskiego,

z p r z e k ł a d u H e r d e r a

spolszczył

WŁADYSŁAW HR. TARNOWSKI.

C Y D

pod FERDYNANDEM WIELKIM.

I.

Smutny siedział Don Diego —
Iście nikt tak smutny nie był;
A rozmyślał dniem i nocą
Tylko domu swego srom —
Tylko hańbę domu Lainez
O! starego w chwale domu,
Co Inigos przeszedł w sławie
I Arbacos był wyprzedził.

Bardzo zmartwion i zgrzybiały
Czuje, że już blizki grobu,
Kiedy jego wróg Don Gormaz
Ufny w przemoc tryumfuje.
Bez pokarmu i bezsenny
Wzrok ponury wlepił w ziemię;
Nie przekracza swego progu,
Do przyjaciół nie przemówi,
Głuchy na przyjaciół słowa
Kiedy przyjdą go pocieszać,
Bo mu zda się, że sam oddech
Zhańbionego — truje druhów...

Wreszcie zrzucił straszne brzemię
Niemych smutków — z serca skałę —
Kazał przyzwać swoich synów,
Lecz przemówić sam nie raczył.
Wszystkich ręce związał silnie
W ręki swojej uściśnieniu,
Próżno błyszcząc łzami źrenic
Proszą go o zmiłowanie...
Prawie był już bez nadziei,
Gdy najmłodszy z jego synów
Don Rodrigo, wzniósł mu ducha
I nadzieją rozpłomienił.
Rozpłomienił wzrok tygrysi,
Zaszedł ojca z tyłu cicho,
— „Ojcze!“ rzecze „zapominasz
„Ktoś ty jest — i ktom ja jest!
„Gdybym nie był wziął z twej dłoni
„Mej r y c e r s k i e j, ongi, broni,
„Toby s z t y l e t już był skrócił
„Hańby srom, co cię zasmucił!“
Jak z rozmarzłych gór trysnęły
Łzy ojcowskie pełnym zdrojem.
— „Ty Rodrigo“ obejmując
Syna, rzekł „o! tyś mój syn!

„Twój gniew spokój mi powraca
„Twe milczenie mnie trwożyło!
„Nie przeciwko mnie, twe ramię —
„Na naszego domu wroga
„Wzniesiesz synu!"
— „Gdzie on jest?"
Krzyknął Rodryg, „kto naszego
„Domu śmie uwłaczać czci!?"
Ledwie ojcu dał powiedzieć...

2.

Wysłuchawszy hańby domu
W myślach odszedł sam, ponuro,
Rodryg, — swą rozmyśla młodość
I potęgę wrogów mierzy...

Tam, w Asturyi dzikich górach
Liczy Gormaz tysiąc druhów,
Pierwszy w dzielnej radzie króla,
Pierwszy w bojach krwawych pól.
Lecz gdy hańbę ojca zważy,
Kiedy zważy jego srom,
Czem mu wszystko inne? Nieba!
Nieba! dajcie pomsty grom!...
Męztwo dłużen honorowi,
Czyż ma młodość być zawadą?
W dobrym rodzie dobrej sławie
Dziecię nawet — głowę da!

Szybko porwał miecz ze ściany,
Którym niegdyś posługiwał
Się Mundazza Bastard dzielny.
Smutnie rdzawy wisiał miecz
Jakby w szczerbach poczerniałych
Krył żałobę po swym Panu.
Zanim Rodryg go przypasał
Tak się pierwej ozwał doń:
— „Wiedz o dzielne ty narzędzie,
„Że cię chwyta chrobre ramię,
„Równie dzielne jak Mundazzy,
„Choć mu jeszcze braknie siły —
„Lecz przenigdy wstecz nie cofnie
„Razów twoich w dzikim boju...
„Tyś jest dzielny, z twardej stali —
„Dzielniejsze me serce jest!
„Ten, któremu teraz służył
„Będzie godzien poprzednika —
„Gdyby godnym ciebie nie był
„Już nie służyłbyś — nikomu!
„Boby cię w jelita ciepłe
„Skrył przed hańbą!... Naprzód Cydzie!"
Krzyknął, „oto twa godzina —
„Sprawiedliwej zemsty czas!..."
Cicho, tak że nikt nie wiedział
Wyszedł z ojców swoich domu
I nim krótki czas przeminął
Już go dojrzał hardy wróg...

3.

Wśród dziedzińca zamkowego
Don Rodrigo Don Gormaza
Spotkał — spotkał samotnego
I przemówił temi słowy:
— „Czyś znał syna Don Diega
„O szlachetny Don Gormazie,
„Kiedy śmiałeś ściągnąć rękę
„Na czcigodne to oblicze?...
„Czyś przepomniał, że Don Diego
„Od Layn Calwa się wywodzi?
„Że nic nie ma zacniejszego
„Nad ten ród, a tarcz, a krew?...
„Czyś zapomniał, że gdym ja żyw,
„Nikt z śmiertelnych na tej ziemi,
„Ledwie Pan, co niebios królem,
„Mógł bezkarnie to uczynić!"
— „Czy wiesz, "odrzekł Gormaz dumny,
„Czem połowa jest żywota,
„O młodzieńcze?" — „Wiem!" rzekł Rodryg
„O! wiem o tem bardzo w czas —
„Połowa jest: szlachetnemu
„Cześć okazać a połowa:
„Skarcić pychę wyniosłego
„Choć ostatnią kroplą krwi —
I odemścić hańbę domu!" —
A gdy to rzekł, przebódł wzrokiem
Co jak węgiel płonął, wroga.
Aż zazgrzytał w szyderstw głos:
— „Czegoż chcesz młodzieńcze krewki?"
— „Twojej głowy hrabio Gormaz!"
Odrzekł Cyd — „i to przysiągłem!" —
— „Cacek chcesz dziecino marna"
Rzekł Don Gormaz, „zasłużyłeś
„Pazia plagi na kobiercu!"
O! wy wszyscy niebios święci,
Jakże Cyd drgnął od tych słów!

(C. d. n.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA

(Ciąg dalszy.)

XII.

Wyjazd z Odessy. — Powrót do Lulinicc.

Przy końcu września opuściliśmy Odessę. Oficerowie *brandwachty* odprowadzili nas aż do baryery Tamożni. Skarabelli płakał rozstając się z nami i jam się też rozbeczał, gdy mię raz ostatni uściskał. Mówię ostatni, bośmy się już nigdy więcej nie spotkali ani z nim, ani z poczciwym Zajcewskim. Smutny byłem nad wyrazy przez cały ciąg kilkodniowej podróży. Łaknąłem morza, a morza nie było! Step dziki, niemy, monotonny nie mógł mi zastąpić olbrzymiej harmonii fal rozkołysanych, co tyle miały dla mnie objawień, tyle odkrywały zjawisk i ducha mego w takie unosiły poloty! Nie prędko oswoiłem się ja z nowym trybem życia. Nic mię nie zajmowało, nie bawiło. We wszystkiem znajdywałem czczość, bezbarwność i tęsknotę. Lecz cóż się oprze potędze czasu? W miarę postępu dni smutek mój ubywał, zacierały się wrażenia i pamięć o Odessie mierzchła. Lulińce odzyskały dla mnie stopniowo dawny urok i tęsknoty nie stało.

Jeżeli sobie czytelnik przypomina, mówiłem już w jednym z poprzednich rozdziałów o stosunkach ówczesnego obywatelstwa naszego z rządem. Były to stosunki spokojne i łagodne. Rząd nie wywierał presyi, nie bronił eksploatować chłopa, nie kładł tamy zachciankom. Czegoż trzeba było więcej ogółowi głęboko w materyalizmie zastrzęgłemu? Ztąd to i wojskowi moskiewscy, kraj nasz nawodniający szeroko, doznawali uprzejmej w polskich domach gościnności. A że z łaski bezpłatnej pańszczyzny i płodorodnej gleby nie brakło grosza w kieszeniach, ani dobrego winka w piwnicach, ani obfitej strawy na stołach, nic dziwnego, że moskiewskie rycerstwo lgnęło do panów obywateli i odwiedzało ich gorliwie.

W pobliżu majątku pani starościny Horodelskiej, babki mojej, leżały Ilińce, miasteczko Sangusz-

*

ków, w którem konsystował pułk Wiatski piechotny, do 2giej armii Wittgensteina należący. Dowódzcą onego był Pestel, człek zdolny, wykształcony i ambitny. Służąc w gwardyi cesarskiej aż do stopnia pułkownika, należał on do najwyższych sfer stołecznego towarzystwa, a że się na służbowej arenie świetnie zalecić potrafił, car Aleksander I zrobił go swoim fligel-adjutantem i mianował dowódzcą pułku.

Często bywał Pestel u krewnego naszego, marszałka Przyłuskiego, w Napadówce, gdziem bywało po kilka miesięcy z nauczycielem moim przesiadywał. Rozmowny i dowcipny, a do tego salonową ogładą celujący, Pestel nie mógł nie być pożądanym gościem tam, gdzie się na nim poznać umiano. Napadały nań jednak chwile zadumania, z którego się gwałtownie oswobadzał, żeby nie przerwać nici dyalogu, a tem samem nie ubliżyć osobom, z któremi toczył rozmowę. Te napady roztargnienia przejawiały się w nim często. Nagliły go nieraz szukać samotności dla swobodniejszego oddania się myślom, które go zajmowały. Wysuwał się wtedy nieznacznie z salonu i spieszył skryć się na chwilkę w najciemniejszych alejach ogrodu.

Myślano, że to były ataki melancholii, symptomaty sercowej tęsknoty. Pokazało się później, że nie to wcale. On stał już wtedy na czele obszernego spisku, u steru groźnego przedsięwzięcia. Czuł się zatem winnym względnie rządu. Widział otchłań przed sobą, miecz Damoklesa nad sobą. Cóż dziwnego, że miotany niespokojnością i pochłonięty głębią politycznych kombinacyi musiał czasami ogołacać twarz swoją z przybranej maski wesela, żeby odetchnąć swobodniej na ustroniu i skupić się w sobie.

Pewnego dnia wszedł do mego pokoju podczas lekcyi. Na ścianie wisiał wizerunek Napoleona I w historycznym kapelusiku, z rękoma założonemi na piersiach. Pestel wlepił weń oczy, pogrążył się w myśli, potem wyciągnął czarny plumaż z kapelusza swego, włożył go *en bataille* na głowę, skrzyżował ręce *à la Napoleon* i stanąwszy w tej pozie przedemną, zapytał żartem niby.

— *Trouvez vous que je lui ressemble?*

— *Oui!* odpowiedziałem i rzeczywiście jeżeli nie twarzą, to formą ciała i przybraną manierą przypominał nieco w tym momencie wielkiego cesarza. Rad był widocznie z mojej odpowiedzi. Wziąłem to za prosty żarcik z jego strony. Pokazało się jednak później, że ta myśl jego zewnętrznego podobieństwa z Napoleonem jednoczyła się w nim z dążeniem do podobieństwa politycznego, albowiem następstwa pokazały, że przyjmując główne kierownictwo spisku z celem obalenia monarchizmu na korzyść republikańskiego pryncypu w Rossyi, zawarował sobie zwierzchniczą, konzularną dyktaturę na wzór bonapartowskiej — w jakich widokach na przyszłość? pojąć nie mogę. Jużcić nie sądzę, żeby się mu roiło zostać cesarzem dla dopełnienia podobieństwa z Napoleonem.

Bądź co bądź spisek ten, co tyle ofiar kosztował, nie dowodził bynajmniej wielkich politycznych poglądów w ludziach, co myśl pierwotną onego podali. Nie wybiła jeszcze wtedy godzina reform radykalnych w państwowym ustroju Rossyi. Cała jej potęga spoczywała na jednej li tylko centralizacyi władzy monarchicznej, na caracie absolutnym, wyższym nad prawo i Bogu tylko odpowiedzialnym. Do republikańskich instytucyi nie była jeszcze usposobioną, a ten, coby je chciał wprowadzić gwałtem na stanowisko rządzącej zasady, nie dopiąłby zamiaru i naraziłby kraj na bezład chaotyczny, wiodący za sobą upadek jednolitości, narodowych przekonań i rozprzężenia sił społecznego ducha.

Czemu przypisać, że tej idei błędnej a więc niepraktycznej tylu się chwyciło? Że wyższe nawet umysły, jak np. Rylejew, *) bracia Bestużewy, **) Rajewscy, Murawiew-apostoł, Michał Orłów i Pestel obrali ją sobie za sztandar, za *palladium*, za cel najwyższy dążeń i ofiary? Co dało wreszcie byt tej idei? Zkąd się wzięła ona pośród ludzi nie posiadających ani liberalnych tradycyi, ani rodowych pociągów do emancypacyi z pod jarzma caratu, któremu ojce ich i dziady kornie hołdowali widząc w nim żywy obraz majestatu i potęgi samego Boga?

Rozwiązanie kwestyi tych nie trudne. Idea wolności podobna słońcu. Ludzie zachwycają się jej promienistością i olśnieni blaskiem cudnego zjawiska gonią za niem na oślep, nieświadomi grożących im przepaści, niebaczni na nie. Tak się też stało i w Rosyi. Młodź bogatsza, kształcona za obrębem narodowych tradycyi i pojęć, olśniona blaskiem innoziemnych liberalnych utopii, przestała stopniowo czuć, myśleć, wierzyć po rosyjsku i nic prawie krom nazwiska swego nie zachowała. Było wtedy dobrym tonem odzywać się z pewnym rodzajem pogardy o swojej ojczyźnie, wstydzić się jej, słowo nawet rodzinne, dźwięczne i poważne lekką pianą francuzkiego żargonu zastępywać. Nic dziwnego, że na pokoleniu tak usposobionem łatwo się zaszczepiły zachcianki naśladownictwa ruchów politycznych Zachodu, dających rozgłos imieniowi a tem samem dogadzających osobistej próżności. Wzięto się więc do tajemnej reakcyi przeciw rządowi, do negacyi wszystkiego co święte, do sarkazmu nad wszystkiem, co nie zagraniczne. Rząd wyrzekł swoje hola! zamilkły wprawdzie usta, lecz natomiast gniew wewnątrz przemówił. Zaczęto łączyć się w koteryc opozycyjne, zawiązywać tajne stowarzyszenia *pseudo*-polityczne, małpować włoską *carboneria*, francuski *jakobinizm*, germańskie *Tugendbundy*, inicyować się do łóż wolnomularskich, ***) które dziwną jakąś tolerancyą rządu istniały otwarcie w Petersburgu, Moskwie i miały swoje filie na prowincye. We wszystkich tych konspiracyjnych towarzystwach nie było ani stanowczego planu, ani jednolitości dążenia. Były to, że tak powiem, konglomeraty kontrastów, zlepki stron ujemnych inteligencyi i ducha. Chciało się czegoś—ale czego?... sami nie wiedzieli. Wprawdzie godła, jakie sobie obrali, były chwalebne i wzniosłe — prawo człowieka, braterstwo ludów, postęp, wolność polityczna i osobista, piękne promieniste mrzonki wszystkich szlachetnych marzycieli! Lecz każdy tłomaczył je po swojemu, inaczej określał, inaczej zastosowywał, każdy usiłował wypiętnować na nich swoje *Ja* ze szkodą ogólnej harmonii środków i celu, każdy się wysuwał naprzód i nieraz *veto!* najmniej zdolnego unikczemniało w jednej chwili mozolne kombinacye zdolniejszych.

Takim był stan rzeczy, kiedy Pestel został inicyowanym do towarzystwa. Pojął on od razu niedorzeczność dotychczasowego ustroju onego. Zgorszył się niesfornością, jaka w niem panowała i brakiem ogniwa klas doń przypuszczonych. Silniejszą wolą obdarzony a przytem niecierpliwy czynu, pochwycił samodzielnie ster spisku, skupił rozpierzchłe żywioły onego, urządził i pomnożył środki propagandy, określił stanowczo kierunek

*) Poeta — autor Wojnarowskiego.

**) Jeden z nich słynie w literaturze rossyjskiej pod pseudonymem Marliński.

***) Główne Loże petersburskie nosiły nazwę: La grande Astrée, La Palestine i Les Amis réunis. Wielkim mistrzem tej ostatniej był jeden z najwyższych dygnitarzy państwa, hrabia Mussin-Puszkin-Brus. Mistrzem hr. Feliks Strutyński.

zbiorowego dążenia. Za główny cel położył wytępienie dynastyi, za główne narzędzia państwowej reformy obrał armię, tę jedyną podporę tronu. Pod jego zwierzchnictwem spisek odmienił zupełnie naturę swoją. Otrząsł się z poprzedniczej firmy demokratycznej (niestosownej aż do śmieszności, bo lud, *demos*, nietylko nie stanowił gruntu konspiracyi, lecz zgniótłby ją, gdyby o niej wiedział) a stał się szlacheckim, arystokratycznym, militarnym. Adepci jego zaczęli nurtować gorliwie 2gą armię Wittgensteina — inni uderzyli na gwardyę carską. Chcąc wzmocnić sprawę swoją przymierzem dzielnej narodowości pobratymczej, Pestel zawiązał preliminarne umowy z towarzystwem liberalnem polskiem, które wyśledził w Warszawie, i z którem zawarł wkrótce sojusz uroczysty na podstawie warunków zobopólnego braterstwa. Skutkiem czego wyznaczono ze strony polskiej kilku komisarzy, niby agentów dyplomatycznych, przy towarzystwie rosyjskiem, a ponieważ centrem onego była Ukraina, wybór padł na miejscowych obywateli ukraińskich Antoniego Czarkowskiego, Anastazego Grodeckiego, Feliksa Ciszewskiego, ludzi miłujących szczerze sprawę ojczystą, świadomych gruntownie jej dziejów i biegłych w ocenieniu jej politycznego interesu.

Rok 1823 zastał tedy elementa spisku szeroko rozwinięte w armii Wittgensteina. Wszyscy prawie z małym wyjątkiem pułkownicy korpusów 6go i 7go (Sabaniejewa i Rudziewicza) byli nimi zarażeni. Szefowie niektórych batalionów, ba nawet mnogich kompanii, należeli także do spisku. Jeden tylko żołnierz, główna postać akcyi o niczem nie wiedział, bo się mu zwierzyć nie ośmielono przedwcześnie. Co do jenerałów nie wiem czy oprócz ks. Wołchońskiego, Mordwinowa i Kalma (dowódców brygad piechoty) było więcej inicyowanych chociaż... zataić nie mogę jednej okoliczności, ogólnem baczeniem ominionej, a z której nabyłem mimowolnego przekonania, że i szef sztabu 2giej armii, ówczesny jenerał Paweł Kisielow, *) nie był obcym gotującemu się wybuchowi, lecz że się później zręcznie wywinął *en retirant son épingle du jeu*, jak mówią Francuzi. Wiem, że rzucając tego rodzaju posądzenie na człowieka takiej dystynkcyi i zasługi winienem usprawiedliwić się w obec czytelnika z obawy, żeby mię nie oskarżył o lekkomyślność. Przytoczę więc niektóre fakta niezaprzeczonej prawdy, według których regulowałem zdanie moje.

W roku 1823 jenerał Kisielow był człowiekiem młodym, pełnym energii, gorliwości i rozumu. Śmiało rzec można, że lepszym szefem sztabu być niepodobna. On trzymał całą 2gą armię w swojem ręku i nie było tak drobnej komendy, dokądby oko jego nie przeniknęło. Trudno dopuścić, żeby człowiek tak daleko sięgający bacznością oficyalnego kontrolu, nie starał się poznać należycie i *medium* służbowe, które go otaczało. Przecież cały prawie sztab Wittgensteina należał do spisku, a Juszniewski, jenerał-intendant i Licharew, pułkownik kwatermistrzostwa, faworyt Kisielowa, okazali się w późniejszym czasie pierwszorzędnymi winowajcami stanu. Tego mało, jenerał Kisielow żył w ścisłej przyjaźni z Pestelem. Nierzadko przylatywał doń z Tulczyna kuryer z poufnem poleceniem lub z kordyalnem wezwaniem od Kisielowa. Sam byłem tego świadkiem nieraz. Pytam tedy czyli wziąwszy powyższe fakta na uwagę, można się oprzeć przekonaniu posądzającemu Kisielowa? Według mnie dwie winy ciążą na imieniu jego. Pierwsza: że wiedząc o spisku nie wpłynął na rozwiązanie onego, druga: że odstąpił tych, co mu zaufali w chwili niebezpieczeństwa, a Pestela, swego przyjaciela, sam wydał w ręce rządu. O tem będzie niżej.

(C. d. n.)

*) Tu mowa o jedynych tylko jenerałach 2giej armii. Ten Kalm był ożeniony z Polką panną Podoską. Synowie jego zacni ludzie i dobrzy Polacy noszą familię: Kalmow-Podoskich. Mieszkają na Ukrainie.

*) Późniejszy prezes Dywanu, Mołdawii i Wałachii, minister i poseł przy Napoleonie III. Był ożeniony z Zofią Potocką, córką Szczęsnego.

O przywilejach i ceremoniach
w świecie dyplomatycznym,

napisał

dr. GUSTAW ROSZKOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Szczególne formy rządu wprowadzają pewne szczególne kombinacye w wykonaniu prawa ambassady. I tak w państwach zbiorowych i związkach państw, akt konfederacyi oznacza sposób urządzenia ambassady. Mogą być albo ambassady ogólne, wysłane od całego związku, jak w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, a po części w północno-niemieckim Związku, albo ambassady szczególne, jak w Związku niemieckim z r. 1815 i w Szwajcaryi albo mogą być ambassady ogólne i szczególne razem, jak w starem cesarstwie niemieckiem. Państwa połudzielne wysyłać mogą swych posłów dyplomatycznych, ale za zezwoleniem państwa, od którego zależą, najczęściej z ograniczeniem rangi; i tak mogły wysyłać tylko *Chargés d' affaires* Mołdawia i Wołoszczyzna, w skutek traktatu z r. 1774, tudzież prowincye angielskie w Australii i Indyach wschodnich i prowincye holenderskie we wschodniej Azyi. Dawniej niektóre miasta nawet, jak Neufchatel i Brema miały prawo wysyłania swych posłów, dziś wszakże to już nie istnieje.

Przyjmowanie posłów dyplomatycznych nie jest obowiązkiem żadnego państwa, ale wyrazem poczucia dobrze zrozumianego własnego interesu, tudzież konieczności Związku międzynarodowego. Wszakże bez obrazy prawa narodów można nie przyjąć posła dyplomatycznego w dwóch tylko wypadkach, gdy udzielność państwa nie jest uznaną, tudzież gdy z niem wszelkie stosunki dyplomatyczne zerwane zostały.

Często się zdarza przyjęcie posła pod pewnymi warunkami. I tak: Francya i Szwecya nie przyjmują własnych poddanych na posłów od obcych państw, prócz tego każde państwo może odmówić przyjęcia posła, którego osoba jest mu niemiłą, nawet niepożądaną, lub co więcej, nie dającą gwarancyi zaufania, co może mieć miejsce wówczas, gdy osoba ta poprzednio spełniła na

jego terytoryum ważne jakieś przestępstwo, lub dała się poznać ze swych nieprzyjaźnych dla niego przekonań. Zdarza się wszakże niekiedy odmówienie przyjęcia posła dla jakichś urojonych powodów, ale też to sprowadza zawsze powikłanie stosunków dyplomatycznych. I tak w r. 1757 Szwecya nie chciała przyjąć ambasadora angielskiego za to, że on po swej nominacyi odwiedził księcia zostającego z Szwecyą w wojnie. Anglia czuła się przez to obrażoną i zerwała dyplomatyczne stosunki z Szwecyą. Wreszcie każde państwo może nie przyjąć posła przybywającego z missyą uwłaczającą jego honorowi, lub przeciwną prawom miejscowym. Jest dzisiaj zwyczajem właściwie dyplomatycznym, iż każde państwo uwiadamia obcy dwór o przeznaczeniu do niego pewnej osoby na posła; jeżeli dwór ten nie protestuje wtedy poseł udaje się na swą missyę bez obawy, iż nie zostanie przyjętym. Przyjęcie posła oznacza uznanie rządu, tak że przyjęcie ambasadora państwa nowo powstającego lub uzurpatora władzy państwowej, oznacza uznanie nowych tych dworów.

Dyplomatyczne stosunki państw załatwia albo reprezentant władzy państwowej, albo organa dyplomatyczne, t. j. w tym celu ustanowieni urzędnicy, jak minister spraw zagranicznych tudzież posłowie do obcych państw wysłani, a mianowicie: właściwi posłowie dyplomatyczni, a więc osoby upełnomocnione przez państwo do załatwiania ogólnych jego stosunków z obcem państwem, jak niemniej posłowie nieposiadający dyplomatycznego charakteru, a mianowicie komisarze, agenci, deputowani na kongresy, wreszcie konsulowie. Do dziś dnia istnieje jeszcze spór o to: czy konsulów należy uważać za posłów dyplomatycznych, czy nie? Mojem zdaniem, ponieważ natura czynności konsulów jest niedyplomatyczną, gdyż oni są ustanowieni wyłącznie do spraw handlowych, ponieważ zupełnie inaczej są powoływani na swe stanowiska, niżeli właściwi posłowie doplomatyczni, ponieważ nie posiadają ani przywilejów ani praw ceremonii tym ostatnim należących, przeto odmówić im potrzeba dyplomatycznego charakteru, tem więcej, że ile razy powierzoną im jest missya dyplomatyczna, tylekroć specyalne w tym względzie uzyskują upełnomocnienie.

Są różne rodzaje posłów dyplomatycznych. Ze względu na zakres władzy są posłowie p e ł n o m o c n i, tj. z władzą ograniczoną lub bez takiego ograniczenia. Kardynał Mazarini reprezentant Francyi przy traktacie Pirenejskim i baron von Lilienroth poseł szwedzki na kongresie Ryświckim mieli tytuły posłów pełnomocnych. Ze względu na czas trwania są poselstwa zwyczajne, stałe i nadzwyczajne, ustanowione albo na pewien czas, albo do pewnych przechodnich czynności. Choć kongres wiedeński wyraźnie zastrzegł, iż posłowie nadzwyczajni nie mają wyższego charakteru niż zwyczajni, to jednak i dzisiaj bardzo dostojne osoby zostają tylko nadzwyczajnymi posłami. Hr. Beust został nadzwyczajnym ambassadorem w Londynie. Ze względu na przedmiot misyi są poselstwa przeznaczone do sprawowania interesów państwa na obcym dworze *(Geschäfts-Gesandter)* i poselstwa ceremonii przysyłane z powodu koronacyi, zaślubin, chrztu itp., do czego używane są osoby należące do najwyższych sfer towarzyskich. Wreszcie ze względu na ceremonie i etykietę dworską istnieją od w. XV różne klasy posłów, na kongresie wiedeńskim w r. 1815 i Akwizgrańskim w r. 1818 ustanowione w następującym porządku:

Klasa I obejmuje ambasadorów i legatów tudzież nuncyuszów papiezkich;

Do klasy II należą t. z. *envoyés*, minister pełno mocny, internuncyusz austryacki w Konstantynopolu i internuncyusze papiezcy;

Klasę III stanowią t. z. *Chargés d' affaires*, *les Résidents*, konzulowie z specyalną misyą dyplomatyczną.

Zaś *Ministres Résidents* posiadają klasę pośrednią, między klasą 2gą i 3cią.

W wyborze osoby posła panujący nie jest niczem skrępowany, wszelako w dzisiejszej praktyce prawa narodów poselstwa powierzone są ludziom należącym do sfer arystokratycznych i bardzo bogatym, ponieważ koszta utrzymania w czasie sprawowania poselstwa, zwłaszcza w missyach ceremonii są tak wielkie, że małe państwa nie są w stanie ich ponosić i dlatego posłami są ludzie dość bogaci, aby z własnego majątku zaspakajać je mogli. Co się tyczy arystokratycznego pochodzenia posła, to pamiętną będzie na długo rozmowa Filipa II, króla hiszpańskiego z francuzkim posłem od Henryka IVgo. *Etes-vous gentilhomme?* zapytał król posła zaraz po jego przybyciu na dwór. *Oui, si Adam l' était*, brzmiała odpowiedź. *De qui etes-vous fils?* zapytał król dalej. *De mes vertus*, odpowiedział niezmięszany ambasador.

Różnica płci nie jest stanowczą w uzyskaniu poselstwa. Już w Rzymie wysyłano kobiety w charakterze posłów do obcych państw. W czasach nowszych szach Perski posłał bordzo piękną kobietę do Sułtana, jako posła. W tymże samym charakterze Ludwik XIV posłał pannę de Kerronal na dwór londyński, a August II sławną hrabinę Maryę Aurorę von Königsmark do Karola XII, ale piękna ta dama nie zdołała ani jednej audyencyi wyrobić sobie u króla. Ze wszystkich poselstw kobiecych najgłówniejszem jest poselstwo marszałkowej hrabiny de Guebriant do Władysława IV. Charakterystyczny wypadek zdarzył się przed kilkudziesięciu laty w Londynie. Poseł Ludwika XVgo Karol, Genowefa, Ludwik, August, Andrzej, Tymoteusz d' Eon de Baumont z rozkazu rządu francuzkiego przywdział suknie kobiece i nosił je aż do śmierci, t. j. do dnia 10 maja 1810 r. Dopiero po śmierci okazało się, że sławny dyplomata w kobiecem przebraniu był rzeczywiście mężczyzną.

Udając się na missyę poseł dyplomatyczny uzyskuje obok dokumentu powołującego go na to stanowisko, jeszcze t. z. pisma wierzytelne, t. j. pismo jego panującego do reprezentanta najwyższej władzy w państwie, do którego się udaje, oznajmujące mu o missyi, o wybranaj osobie posła i udzielonym mu charakterze, które to pismo wręcza się na audyencyi po przybyciu na dwór. Papież udziela zamiast tego bullę.

Oprócz pism wierzytelnych posłowie dyplomatyczni uzyskują jeszcze uprawnienie, t. j. pełnomocnictwo, wyrażające zakres działania, instrukcye co do postępowania na dworze, wskazówki tajnego pisma, t. z. *Chiffres*, wreszcie listy rekomendacyjne, pasporta, a udając się do państwa nieprzyjacielskiego — list żelazny. Wszyscy posłowie dyplomatyczni różnych państw, przebywający na pewnym dworze, tworzą razem t. z. ciało dyplomatyczne (*corps diplomatique)*, której to nazwy użyła po raz pierwszy pewna dama na dworze wiedeńskim, w drugiej połowie zeszłego stulecia. Ciało dyplomatyczne stanowi jak gdyby stały k o n g r e s dyplomatów, obradujący nad wspólnymi interesami dotyczącymi ich państw, albo ich stanowisk na dworze. Przewodniczenie w ciele dyplomatycznem należy do najstarszego wiekiem, niekiedy spełnia to nuncyusz papiezki. Ażeby posłowie dyplomatyczni wysokie swoje zadania wykonać mogli, t. j. aby rzeczywiście w całym zakresie z wszelką konieczną do tego swobodą mogli załatwiać interesa swoich państw i dworów na obcym dworze, aby czuwać mogli nad dobrymi z nim stosunkami i uczynić wszystko do odwrócenia grożącego ich zerwania, potrzeba ażeby zapewnione im było szczególne, prawne stanowisko. W stosunku do swego

państwa, poseł dyplomatyczny uważany być musi za delegata ministeryum spraw zagranicznych, a więc za urzędnika państwowego, wyjąwszy ambassadorów, którzy reprezentują osobę swego panującego i dlatego zajmują stanowisk przez niego odznaczone. Prawne stanowisko posła zawisłem jest właściwie od orzeczeń prawa publicznego tego państwa, z którego pochodzi. Stosunek zaś posła do państwa, przy którego dworze został on uwierzytelnionym, określa już pozytywne prawo narodów, nadając członkom ciała dyplomatycznego szczególne przywileje, już to z powodu uszanowania majestatu ich państw i ich panujących, już dla zapewnienia im swobodnej, właściwej akcyi dyplomatycznej.

(C. d. n.)

W JESIENI,

komedya w jednym akcie

przez

Władysława hr. Koziebrodzkiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena XXIV.

ZYGMUNT, GWALBERT.

GWALBERT (*do siebie*).

Ideał... ideał żony!... lubi muzykę, a flet uznaje za najpiękniejszy z instrumentów... to żona dla mnie...

ZYGMUNT.

(*przy drzwiach patrząc za Sabiną*)

Co za kibić, co za nóżka, co za wkrojenie szyi... a jaka rozkoszna, jaka wesoła!... Prześliczna... (*po chwili*) Co to będzie za skarb w domu!...

GWALBERT (*w rogu sceny*).

Chociaż teraz tak źle się dzieje na świecie... ale Sabina to wyjątek. (*po chwili*) Wszystko przypuszczać mi każe, że mnie lubi... zapraszała do Gorowic... chciała, abym jej grał na flecie... mówiła, że po dniach całych będzie muzyki słuchać... w tem coś jest!... (*zaczyna chodzić po scenie.*)

ZYGMUNT.

(*chodząc w przeciwną stronę, zamyślony*)

Jak ją mój dom zajmuje! jaka troskliwa, jaka pamiętna, wszystko co się mnie tyczy, obchodzi ją nie mało... To dobry znak!... znam się na tem... tak się rodzi nie jedna miłość... Tak samo pamiętam z Wandą.

GWALBERT (*do siebie chodząc*).

Widocznie nie jestem dla niej obojętny, pamiętała najmniejsze zdarzenie... myślę, że to nie jest bez przyczyny...

ZYGMUNT (*do siebie chodząc*).

Widocznie zrobiłem na niej wielkie wrażenie... a w tym wieku... (*spotykają się na środku sceny, patrzą chwilę na siebie i odwracają żywo.*)

GWALBERT (*na stronie*).

O! Zygmunt mi coś zamyślony.

ZYGMUNT (*na stronie*).

Coś niezwykłego w twarzy Gwalberta...

GWALBERT (*z ironią*).

No jakże twoje kolano, kochany Zygmuncie... strzyka ciągle, co?

ZYGMUNT (*niechętnie*).

Przeszło już dawno.

GWALBERT.

A cóż doktor powie?

ZYGMUNT (*przerywając*).

A dajże mi pokój z doktorem!... (*zaczyna chodzić.*)

GWALBERT.

(*Chodząc w przeciwną stronę.*)

Hm!... co za przypuszczenie!... Kto wie... wszak wybierał się do Gorowic, mówił, że na seryo myśli o małżeństwie. (*siada w rozpaczy w rogu sceny.*) Okropność! a ja go namawiałem jeszcze!

ZYGMUNT (*do siebie*).

Ten Gwalbert myśli zawsze, że młodszy odemnie!... i... A gdyby on?... to możebne, to bardzo możebne, wszak zawsze tylko do małżeństwa wzdychał!... (*siada w drugim rogu sceny*) a ja mu tego nigdy nie odradzał!... (*Chwila milczenia.*)

GWALBERT.

(*po namyśle do siebie.*)

I on miałby się żenić... i z nią do tego? On taki stary! słaby! leczy się tylko, ma podagrę, katar żołądka i początki paraliżu.

ZYGMUNT.

(*podobnie do siebie*)

I Sabina miałaby iść za niego?... Wszakże to stary kawaler, tetryk, nudziarz, dziwak i meloman.

GWALBERT.

(*wskazując ironicznie na Zygmunta — do siebie*)

Piękny narzeczony!

ZYGMUNT.

(*podobnie do siebie.*)

Piękny mi Pan młody!...

GWALBERT, ZYGMUNT.

(*wstają naraz i chwilę chodzą po scenie milcząc, spotykają się we środku, patrzą podejrzliwie na siebie i rozchodzą żywo.*)

(*Tu gra mimiki powinna być bardzo rozwiniętą.*)

ZYGMUNT (*do siebie*).

Przysięgam, że ma zamiar.

GWALBERT (*do siebie*).

Niewątpliwie Zygmunt chce się żenić!... (*chodzą chwilę wymijając się.*)

ZYGMUNT.

(*wstrzymując się, do siebie*)

Tak trzeba postąpić... nie mam się co namyślać! (*wybiega*)

GWALBERT (*do siebie*).

Wiem co robić!... tak najlepiej... (*wybiega innemi drzwiami.*)

Scena XXV.

(*Przez chwilę scena pusta.*)

PAULINA (*sama*).

PAULINA.

(*Wchodząc bocznemi drzwiami*).

Nie widziałam go jeszcze! a jednak serce moje wzruszone ciągle uczuć niepokojem! To już lat dziesięć jak miłość wstąpiła w dziewicze serce moje! To lat dziesięć jak w czystym przybytku piersi mej, człowiek ten rozpalił iskrzącą, płomienną lampę... i lampa ta płonie, żarzy się... świeci... tajemnie. I nikt nie wie, nikt miłości mej nie odgaduje i on nawet, on nie wie, nie przeczuwa i nie odgaduje. Boże!... czy nigdy nie odgadnie i nigdy nie przeczuje?... (*siada*). Nie wiem, ale pobyt w tym domu podziałał niebezpiecznie na nerwy moje!... jakaś tu atmosfera, co drzeniem niepokoju, zmysły moje nawskróś przejmuje. Być u kawalera! Choć ten kawaler bliski krewny, być w jego domu, w jego pokojach, być do tego samą bez żadnej obrony, prócz własnej cnoty! O! co za sytuacya... dla dziewicy... (*po chwili*) i do tego w takiej chwili, w takiej sytuacyi, spotkać!... Ach! czuję, że siły moje na samą myśl tę opuszczają mnie. (*pospiesznie*) Czuję iż dziś niepotrafiłabym być ani surową... ani nieubłaganą. (*po chwili*) Sabinkę zostawiłam z jej dawną nianką, bo lękam się żeby z mej twarzy nieodgadła tych wzruszeń słodkich i niebezpiecznych... Chcę być samą... chcę w samotności czułemi pieścić się nadziejami. (*Opiera się ręką o stół, po chwili spogląda na książkę i otwiera ją.*) Zgroza!... co za rysunki!... o mężczyzni! mężczyzni! gdzież miłość czysta zdoła się w piersiach waszych pomieścić, gdy zmysły wasze drażnią takie obrazy!... (*Po chwili.*) Ten Zygmunt, co to za zepsuty człowiek!... O! to nie tak jak Gwalbert, który serce pieści muzyką... Tu wszędzie namiętności i zmysłowość... (*Chce patrzeć w książkę i waha się chwilę.*) A! jednak, jak to jest zgubnie ponętne i pociągające... gdybym zobaczyła... trochę... (*ogląda się.*) I tak nie ma nikogo... przejrzę prędko... (*Odsuwa książkę.*) Fe... (*Bierze ją napowrót i przegląda szybko*).

Scena XXVI.

PAULINA, ANTONI.

ANTONI

(*prędko drzwi otwiera. — Paulina odrzuca książkę i odskakuje, Antoni robi minę dwuznaczną.*)

Mego pana tu nie ma?

PAULINA.

Ach! jakżem się przelękła!

ANTONI.

(*Przechodzi scenę*) Oglądała!... oj!... to mi ciekawa Panna (*wychodzi*).

Scena XXVII.

PAULINA (*sama*).

PAULINA (*przyszedłszy do siebie*).

Ten człowiek wszedł tak niespodziewanie! (*z niepokojem.*) Wszystko w tym domu jest tak niebezpieczne... (*po chwili.*) Ach! Co by ludzie powiedzieli, co by świat powiedział, gdyby przypadkiem zobaczył mnie samą w pokoju kawalera... taką drżącą, pomięszaną... wzruszoną... niepewną... Byłabym zgubioną... przez oszczercze ludzkie języki, które rzucały by potwarze... na niewinność moją... Na szczęście nikt mnie tu widzieć nie może.

Scena XXVIII.

PAULINA, GWALBERT.

GWALBERT (*do siebie*).

Nie mogę Pauliny znaleźć...

PAULINA (*z wzruszeniem*).

On!... (*Siada.*) Sama z nim! zgubioną jestem!...

GWALBERT.

Ach! Paulino, jeszczem cię dziś nie widział (*podaje jej rękę.*) Ale co ci jest! ręka twoja tak drzy!

PAULINA (*na stronie*).

Co za sytuacya!..

GWALBERT.

Możeś słabą? powiedz!

PAULINA (*wzruszona*).

Nie Gwalbercie...

GWALBERT.

Bo ja mam Moryzona... powiadam Ci, nie ma jak Moryzon...

PAULINA (*na stronie*).

Jaki troskliwy!... lecz w tem zdrada pewnie męzka... panować, panować muszę nad sobą!..

GWALBERT (*na stronie*).

Gdybym skorzystał? wyborna myśl, Sabina ją tak kocha! przez nią, przez jej wpływ... (*bierze krzesło, bardzo blisko przysuwa do Pauliny i siada*).

PAULINA (*na stronie*).

Tak blisko! co za sytuacya!... przytomność mnie odbiega! Paulino czuwaj nad sobą!

GWALBERT (*pompatycznie*).

Są chwile w życiu... są położenia!... są wypadki tak niezwykłe, tak nadzwyczajne! są ludzie którymi los tak dziwacznie, tak niesprawiedliwie miota!...

PAULINA (*na stronie*).

Zdaje mi się że przecież już nadeszła chwila... Co się tu ze mną stanie!... Paulino czuwaj nad sobą!...

GWALBERT (*jak wyżej*).

Są ludzie, którym jakaś gwiazda nieszczęśliwa zeszła nad kolebką, i przyszłość ich zaklęta smutnie, tak że w walce z życiem mimo najgorętszych uczuć... mimo skarbu miłości w piersi, długo, długo jak rozbitek na morzu walczą z przeciwnościami, długo pośród fal niechętnych rzucają się ku uśmiechniętej nadziei a fale odpychają ich na burzliwy ocean, nadzieja błyszcząca zda im się niknąć na zawsze i życie wtedy jest jednem pasmem zawodów, cierpień, bolów i rozpaczy...

PAULINA.

O! Gwalbercie, jakaż prawda w tych słowach, ktoż odemnie więcej wie, ile los może być niesprawiedliwy, jak świat i ludzie...

GWALBERT.

(*Przerywając zmienionym głosem*).

Proszę cię nie przeszkadzaj, niech skończę. (*pompatycznie*) W walce takiej z niesprawiedliwym losem, z zawodami, jedni upadają na duchu, tracą wiosenną woń duszy, uczucia ich z kwiatów przechodzą jak pełzający robak na bujny grunt zmysłowych roskoszy. Wszystko co w piersiach ich było niewinnego, podniosłego, dziewiczego, wszystko się zatraca i przeradza w namiętne chwile. Drudzy ludzie przez próby te przechodzą jak salamandra przez płomienie, nie tknięci, nie skalani... żadna strona naciągnięta w ich duszy nie zatraca głosu, wszystko co w młodości, co w pierwszych dniach rozkwitu, — harmonią im było anielską, wszystko to mimo lat, czasem nawet dość długich pozostaje niezmienne, nietknięte, nienaruszone...

PAULINA (*na stronie*).

Ta mowa!... o losie, dzięki ci!... jakżeż on czule zbliża się do celu.

GWALBERT.

Takim Paulino człowiekiem, który mimo zawodów, boleści, przeciwieństw, został wiernym swojej młodości, niezatracił skarbów duszy, nie roztrwaniał swoich uczuć... ja jestem.

PAULINA.

Gwalbercie!

GWALBERT.

Tak ja! Nie będę ci powtarzał, ile zawodów i boleści przeszedłem w mojem życiu... Los się nademną urągał, szydził zawsze ze mnie. Lecz ja wytrwały byłem, liczyłem i wierzyłem zawsze, iż przyjdzie chwila zadośćuczynienia...

PAULINA (*przerywając*).

O! to zupełnie tak jak ja!... i ja wierzyłam zawsze, że przyjdzie chwila zadośćuczynienia...

GWALBERT (*zmieniając głos*).

Pozwól niech skończę... (*pompatycznie.*) I dziś, dziś mam nadzieję, dziś gwiazda znów zabłysła świetniej, dziś jak rozbitek widzę roskoszny ląd przed sobą, pokryty zielenią i kwiatami...

PAULINA (*na stronie*).

Więc już... o! (*mdleje*).

GWALBERT

Co ci jest, Paulino... Co ci jest? Czyś zemdlała? może wody? (*biegnie do stołu i przynosi szklankę wody.*)

PAULINA

(*budzi się na widok wody*).

Już mi nic... (*na stronie*) Ach!...

GWALBERT.

Tyś widocznie słabą... mówię ci że tylko moryzon...

PAULINA.

To nic... ale mów dalej, na Boga mów dalej!...

GWALBERT (*jak wyżej*).

Wasz dziś niezwykły przyjazd, zjawienie się niespodziewane wasze, postanowienie to zrobiło niezłomnem. I postanowiłam sobie nie tracić ni dnia ni godziny...

PAULINA (*wstając żywo, na stronie*).

Ratować się muszę!

GWALBERT.

I dlatego mówiłem ci to wszystko, bo ty jedna...

PAULINA.

Nie kończ! na Boga, nie kończ w tej chwili!

GWALBERT.

Od słowa twojego...

PAULINA (*na stronie*).

Muszę mu utrudnić zwycięstwo... (*głośno.*) Wiem, wiem już wszystko, przeczuwam wszystko. Ach Gwalbercie! wszystko tak jest niespodziewane, tak prędkie, tak gwałtowne...

GWALBERT.

Tak niespodziewane, tak prędkie, tak gwałtowne, lecz pomyśl, ile lat czekam na szczęście.

PAULINA (*na stronie*).

A ja! (*głośno.*) To wszystko odbiera mi przytomność, pozwól...

GWALBERT (*przerywając*).

Tobie więc Paulino, los mój chcę oddać cały...

PAULINA (*żywo*).

Nie kończ! pozwól niech w samotności zbiorę siły moje... (*Chce odejść*).

GWALBERT (*wstrzymując ją*).

Twoje jedno słowo...

PAULINA.

Domyślam się reszty. . O!... lecz pierwej wolności pragnę... Gwalbercie! Jednak nie trać nadziei... (*wychodzi i po chwili otwiera drzwi.*) Mówię ci Gwalbercie, nie trać nadziei (*wychodzi*).

(Dok. n.)

Przegląd literacki.

Hugo Victor. L' année terrible. Paris. Michel Lévy. 1872.

Poemat p. Victora Hugo „*L' année terrible*“ doszedł już do siódmego wydania w przeciągu niespełna trzech tygodni. Od czasu, jak wyszedł na świat, nie przestają o nim pisać w paryskich dziennikach: wszyscy nawet przeciwnicy sędziwego poety podziwiają jeżeli nie całe dzieło, to przynajmniej niektóre jego ustępy: za granicą nawet, a szczególniej w Rossyi i w Niemczech rozprzedano wielką liczbę egzemplarzy. Jest to powodzenie niesłychane, a tak zasłużone, jak niespodziewane.

Przez dwa lata bowiem ostatnie p. Victor Hugo od czasu do czasu drukował w *Rappelu* pojedyńcze wiersze, których zbiór stanowi dzisiejszy jego poemat, a krytyka w ogóle nie bardzo przychylnie przyjmowała te płody pióra wielkiego, ale, jak mówiono, zestarzałego poety. Nazywano to fanfarami *à la Hugo*; żartowano z jego deklamacyi, wyszydzano zwyczajne jego wady: wyszukano szorstkość i prozaiczność przy dziwacznych obrazach i wyrażeniach. Teraz zaś, gdy się pokazała całość a nie *disiecti membra poetae*, sarkazm przycichł a podziwienie jest ogólne. Przyczyną tego jest naprzód, że *Rappel* ogłaszał wtenczas nie najlepsze ustępy poematu, a powtóre, że właśnie poemat, chociaż złożony z kilkudziesięciu ustępów, stanowi pomnik zadziwiający jednością i wielkością, tak, że jego pojedyńcze usterki i wady znikają przed wrażeniem silnem, olbrzymiem, jakie sprawia na czytającym.

Rok straszny składa się z dwunastu pieśni odpowiadających dwunastu miesiącom, a zaczynając od Lipca r. 1870 kończy się na Lipcu r. 1871. Sam wybór przedmiotu, sam poematu tytuł jest nowością w literaturze francuzkiej. Nigdy jeszcze, o ile wiem, żaden francuzki poeta (oprócz Agrippa d' Aubigné w *Tragiques*, po wojnie religijnej) nie czerpał natchnienia z nieszczęść ojczyzny i nie opowiadał z patryotyczną boleścią wszystkich jej klęsk i upokorzeń, aby z nich wyśpiewać naukę, jaką zawierają i aby wydobyć z tak długiej rozpaczy, nadzieję lepszej przyszłości. Należało się Wiktorowi Hugo, który przez cały wiek XIX stał na czele ruchu poetycznego i był najczynniejszym twórcą wszystkich reform, wszystkich metamorfoz poezyi romantycznej w swoim kraju, na schyłku życia swojego otworzyć jeszcze jedną drogę następcom swoim i stworzyć p o e z y ę p a t r y o t y c z n ą.

Jednak ciesząc się z tego nowego kierunku obranego przez p. Wiktora Hugo, zarzucilibyśmy mu tylko, że jego patryotyzm prawie wyłącznie odnosi się tylko do P a r y ż a, że Paryż jest przedmiotem jego miłości, jego uwielbienia, jego fetyszyzmu, że podnosząc bohaterstwo w i e l k i e g o m i a s t a, nie wyświeca zarazem wad jego i grzechów, a opowiadając ze zgrozą zbrodnie, jakich był w ostatnich miesiącach teatrem, zdejmuje z niego winę przypisując ją fatalizmowi, obu rządom, ale nie samemu Paryżowi.

Po tem zastrzeżeniu, powtórzywszy jeszcze raz, że znajdują się w nowem dziele p. Hugo te same wady, co

w poprzednich, chciałbym usprawiedliwić podziwienie ogólne, jakie ono wywołało, chociażby pobieżnem jego streszczeniem, gdyby było możebnem dać czytelnikowi wyobrażenie o tej dziwnie wysokiej i gęstej poezyi, przypominającej drzewa i rośliny tych krain, gdzie natura i słońce obdarzone są siłami bujniejszemi i gorętszymi promieniami.

Na początku widzimy padające niezliczone płachty śniegu, wszystko zakrywające, tak że drogi pod śniegiem odszukać nie można i wszystko stało się zasadzką — ale z tego śniegu cóż jutro zostanie po wschodzie słońca? Temi śniegowemi płachtami są miliony buletynów plebiscytowych potwierdzających cesarstwo. Wschód słońca, które je roztapia, jest to smutna i krwawa zorza sedańska.

Pieśń pod tytułem **S e d a n** jest dalszym ciągiem sławnego ustępu z *Chatiments* zatytułowanego *l' Expiation.* Poeta nie marzył o karze tak okropnej za zbrodnię grudniową: „*Toulon, c'est bien,*" powiada, „*Sédan, c'est mieux.*" Ale dlaczegoż ten ukarany złoczyńca upadając tak haniebnie przyprawia niemal i Francyę o upadek? Tu następuje opis bitwy, opis straszny, przerażający: kartacze padają, ranni jęczą, grzmią działa, każdy myśli tylko o powinności, o honorze, o poświęceniu życia, o ojczyźnie, gdy nagle wśród zaciętej, bohaterskiej walki daje się słyszeć krzyk ten haniebny: j a c h c ę ż y ć! Wtenczas, powiada poeta, Gallia i Francya, wtenczas wszyscy ich wodzowie Brennus i Klowis, Karolowie wielcy i Turenne, Condé i Villars, wtenczas i Kleber i Desaix, wtenczas Napoleon większy od Cezara i Pompejusza przez rękę złoczyńcy oddali swą szpadę:

Par la main d' un bandit rendirent leur épée.

Po Sierpniu, Wrzesień. Francya zalana wojskami niemieckiemi. Wojna pustoszy najbogatsze prowincye, wojna ohydna, w której idzie zwycięzcy o to, aby zwyciężonego ogołocić z ostatniego mienia. To nie są żołnierze, nie — to są złodzieje; ich hasłem jest: „dajcie nam pieniądze, dajcie wszystko."

Paryż oblężony! Niepodobna wspomnieć o wszystkich obrazach tych kilku miesięcy. Tu poeta odzywa się do pruskich trupów pływających po Sekwanie: „Mówiliście sobie: idźmy do tej nierządnicy. Babilon tam leży, obfity w śmiechy, w pieśni; tam będziemy mieli uciechę, o Sasy, o Germanie, dalej! do Francyi! Paryż, który się dla obcych upiększa i umizga, otworzy nam swe ramiona"... „Tak," dodaje poeta „i Sekwana łoże swoje."

Dalej znajduję wiersz pod tytułem **D o F r a n c y i**, który stał się już popularnym. Gdy Francya opuszczoną jest od wszystkich europejskich rządów, poeta woła: „Ach! chciałbym, chciałbym nie być Francuzem, abym mógł powiedzieć, że Cię wybieram Francyo, i że w tem męczeństwie ogłaszam Ciebie, którę sęp teraz rozszarpał, Ojczyzną moją — sławą, miłością jedyną!"

W liście przesłanym *par le ballon monté* czytamy opis oblężonego Paryża, zawierający szczególniej zasłużoną pochwałę kobiet znoszących wszystko: „zgasły komin, nogi mrozem pokaleczone—na czarnym rzeźników progu nocne oczekiwanie — wicher, śnieg wypróżniający zimne urny swoje — głód, zgrozę, walkę, nic nie widząc — jak tylko wielką ojczyznę i wielką powinność!"

Jest także wiersz o gołębiu noszącym pod skrzydłem „bitwę, szturm, zwyciężonych, zwycięzców i szmery serc tajemnicze i przyszłość ogromną, która zamyka w losie Paryża los Europy całej."

Poeta prawdziwie także natchnionym jest w groźnym i silnym apologu filozoficznym p. t. **W C y r k u.** Lew południowy przemawia przed walką do północnego niedźwiedzia i pokazując mu na tronie śmiejącego się człowieka, powiada mu: „To jest Neron, cesarz rzymski, dla jego uciechy zabijemy się: grozisz mnie, dobrze: czekam na ciebie, pazury ma gotowe, ale zdaniem mojem jesteśmy głupcami szarpiąc siebie nawzajem z taką wściekłością i lepiejbyśmy zrobili, zjadając cesarza."

Ale walka nie mniej toczy się dalej. Lew uległ pod przeważną siłą. Nastąpiła k a p i t u l a c y a. Poeta wymownie wyraża oburzenie ludności paryzkiej: „z twego poświęcenia, z twego szału, z twojej dumy, z twego męztwa, zrobili oni podłość — o ludzie! a będzie to historyi przestrachem — widzieć tyle hańby wyszłej z takiej chwały."

Nareszcie kończy się ta pierwsza część poematu wierszem p. t. **D o t y c h, k t ó r z y z n o w u m ó w i ą o b r a t e r s t w i e.** Poeta nie chce słyszeć o zgodzie przed zwycięstwem: „Myśl taka, która jutro będzie godną, dziś byłaby podłą."

W tej pierwszej części poematu p. Hugo musieliśmy przyklasnąć wszystkim bez wyjątku myślom i uczuciom przezeń wyrażonym, bo zgadzają się one z prawdą, ze sprawiedliwością i gotowe są budzić w sercach miłość dla ojczyzny a nienawiść dla wroga. Druga część poświęcona wojnie domowej, na którę poeta patrzał z daleka, równie wymowna i piękna, nie będzie jednak wolną od niektórych zarzutów, które sięgają dalej jak poemat, a przynależą całemu stronnictwu, do którego zaciągnął się poeta. P. Hugo nie oświadcza się ani za Wersalem, ani za Komuną, jest tylko tłumaczem zgrozy, jaką napełniła wszystkie szlachetne serca okropna walka między zwyciężonymi Francuzami pod oczami zwycięzców, potępia zarówno bombardowanie przez wojska liniowe łuku tryumfalnego i zrzucenie przez Komunę Kolumny Vendomskiej; płacze łzami Jeremiego nad pożarem Paryża i przypisuje zbrodnie ludowe jednemu tylko nieuctwu, wprowadzając podpalacza biblioteki, który na wymówkę, iż sam zniszczył skarb własny, własne bogactwo, odpowiada: „nie umiem czytać." Wszystko to prawda... Ale czy wiersze o rozstrzelanych, którzy idą na śmierć z taką rezygnacyą, z taką obojętnością, śmiejąc się i żartując wtenczas kiedy wszystko naokoło pokrywa się kwiatami i zielonością, czy te wiersze nie zdolne są ożywiać nienawiść proletaryatu do mieszczaństwa i do wojska? Czy, przedstawiając ofiary dni majowych, jako męczenników, nie obawia się poeta uwieczniać tego nieporozumienia fatalnego między dwiema klasami? Lepiej było zachować do końca neutralne stanowisko osądzającego rzeczy i ludzi z wysoka i pobłażliwie, w imieniu ojczyzny, co było zawsze rolą poety. Należało uspokoić, nie rozdrażniać, oświecać nie rozczulać i obrócić nareszcie wszystkich oczy i serca ku jednemu tylko ideałowi — ku Ojczyźnie.

Zapewne kwestya społeczna zawsze groźną jest i będzie, zapewne jest powinnością myślicieli poszukać sposobów pokojowych zmniejszenia niezasłużonej nędzy: dla tego nie zadowalnia nas epilog poematu, którego tu prawie dosłowny przekład podajemy.

STARY ŚWIAT.

Dobrze, falo! Lecz odejdź teraz. Przyszła chwila..
Nigdy jeszcze nie sięgnął wzrost twój tak wysoko.
Ale dlaczego jesteś tak ciemną i dziką?
Czemuż z przepaści twojej jak z ust krzyk wychodzi?
Zkąd ta straszna ulewa i cień i hałasy
I wiatr ów smętny, w nocy szalejący trąbach?
Wzmagają się bałwany z dziwnym jakimś szumem!
Wszak tu granica twoja. Zatrzymaj się mówię.
Stare ustawy, stare przeszkody, wędzidła,
Nieuctwo, nędzę, nicość, głębokie podziemia,
Gdzie zamiera nadzieja, te duszne katorgi,
Starodawną mężczyzn nad kobietą władzę,

Wielką ucztę zamkniętą dla wydziedziczonych,
I dawne zabobony i dawną fatalność
Nietknięte zostaw.. Odejdź — to są rzeczy święte.
Spuść się na dół i zamilcz! Jam te podniósł mury
Koło rodu ludzkiego, jam te stawił wieże.
Ale ty ciągle ryczysz? Ale rośniesz ciągle?
Wszystko runie pospolu pod twym wściekłym pędem.
Oto tutaj mszał stary, oto kodex dawny...
Rusztowanie twą wodą zalane, zniknęło —
Lecz króla się nie dotknij! Nieba! I on zginął.
A ci święci mężowie?... Co widzę? Zgubieni...
Zatrzymaj się! to sędzia... to ksiądz! zatrzymaj się!
Bóg ci mówił: nie pójdziesz dalej. gorzka falo!
Ale i mnie pochłaniasz!... Wspomóż Panie! Morze
Już nieposłuszne, moje zalewa schronienie.

FALA.

Masz mnie za morski przypływ — a jestem potopem!

A więc ostatniem słowem poety jest potop, zniszczenie; przynajmniej zniszczenie starego świata. Dobrze! A co potem? Czy p. Hugo nie mógł postawić innego ideału i dać nam wyobrażenia o tym nowym świecie, który ma zapewne po potopie zakwitnąć? A jednak bez tego pozytywnego wykazania lepszej przyszłości poeta jest tylko rewolucyonistą, nie reformatorem. My mamy inny ideał: my wiemy dla jakiej przyszłości pracujemy; świat przyszły okazuje się nam w formie ludzkości żyjącej w spokoju i dobrobycie, bo złożonej z ojczyzn wolnych i swobodnie rozwijających się jedne obok drugich pod łaskawem wejrzeniem Boga; a możemy przyczyniać się w miarę sił naszych do urzeczywistnienia tego ideału, pracując nad wskrzeszeniem i podniesieniem wskrzeszonej Ojczyzny. Takim to ideałem przyświecają nam poeci nasi. Żałujemy, że p. Victor Hugo trzymał się na pół drogi i utonął w tej fali, która jego mieszczanina wraz ze starym światem pochłonąć gotowa.

Oprócz czysto-politycznych lub patryotycznych ustępów, „Rok straszny“ zawiera prześliczne ustępy, w których poeta osobiste żale swoje lub pociechy maluje, to rozmawiając z młodziutką wnuczką Joanną, która wzrasta śród okropności jak kwiatek śród ruin i uśmiecha się na odgłos kartaczy, to opłakując śmierć nieodżałowanego syna Karola, który umarł w Bordeaux zaraz po kapitulacyi, to opowiadając przechadzkę swoją do ogrodu des Feuillantines, w którym sam dziecinne lata przepędził, a gdzie teraz padają bomby pruskie. Są to jakoby kwiaty wiośniane lub żałobne, rzucone na tę olbrzymią i smętną epopeję nieszczęścia Ojczyzny: a takie właśnie ustępy tem bardziej są tu na swojem miejscu, że uzupełniają obraz Roku strasznego, w którym każdy oprócz klęsk publicznych musiał albo obawiać się o los swoich albo płakać nad ich śmiercią.

Streszczając to, cośmy już w poemacie powiedzieli, winszujemy Francyi, że w niedoli swojej znalazła wieszcza, który zdołał pocieszyć ją pieśnią tak wzniosłą i patryotyczną i zemścił ją, o ile mógł, za pomocą geniuszu swojego; winszujemy p. Hugo, że nową strónę zawiązał na lirze swojej, strónę patryotyczną; ale wyrażamy zarazem żal swój i obawę o niektóre wiersze nieroztropne, o niektóre dążności niejasne i niebezpieczne, które zdają się nam być jak na teraz największą przeszkodą do podniesienia chwilowo upokorzonej Francyi.

W. G.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(„*Skąpiec.*“ — Pan Rapacki w roli *Jaga.*)

W przyszłym roku przypada 200-letnia rocznica śmierci Jana Babtysty Moliéra. A mimo to po dwóch wiekach każdy wybredny smakosz piękna zachwyca się jego genialnym humorem, a *Odeon* i *Theatre français* dają go ludowi paryskiemu co dnia podziwiać, aby nie zgłupiał na farsach Offenbacha... I całe społeczeństwo francuskie, spracowany uwrier i sybaryta-mieszczanin, wyuzdana kokota wieczornych bulwarów i tkliwa dusza pani Georges Sand. człowiek przelotnego śmiechu i człowiek posępnej myśli, a przed wszystkimi innymi gosposia Laforest, jednakowe mają źródło rozweselenia w utworach tego poety. Ale bo też nikt nie poznał tak gruntownie wszystkich warstw społeczeństwa, dla którego pisał, jak Moliér... Rzucany igrzyskiem losu po całej Francyi, tandetnik, aktor i kamerdyner królewski, czegoż nie dojrzał, nie dosłyszał?... A miał rzadką, niedoścignioną prawie bystrość w robieniu spostrzeżeń nad naturą swego narodu i człowieczeństwa w ogóle. W swych komedyach i krotochwilach dobył wszystkich akordów z ludzkiej duszy i ponoś nigdy absolutnie nie będziemy pewni, czy najbardziej go podziwiać w „Świętoszku“, czy w „Skąpcu,“ czy w „Uczonych kobietach“, czy w tym wreszcie szalonym „*Médicin malgré lui?*“

Moliér był pierwszym, który do komedyi wprowadził na szeroki rozmiar — tendencyę moralną. O Aristofanesie niktby nie sądził, że go mocno bolały stosunki, które wyszydzał. W tem właśnie słowie leży różnica dwóch mistrzów. Moliér nie szydził, tylko malował — i to ze łzą w oku... Dla tego Moliér był zawsze moralistą głębokim i świetnym, chociaż zupełną miał wiedzę że nim jest... Powiadają krytycy, że taka samowiedza psuje czysty artyzm w dziele sztuki — trudnoby nie przyznać, że nazbyt częste moralizowanie w komedyach Moliéra nie zaszkodziło trochę jego fantazyi, ale trudno też i nie uwielbić za to poetę, że sztukę swoją pojmował na seryo a teatr uważał za krynicę wrażeń piękna i dobra zarazem. Moliér był twórcą ponurym. Choroby i grzechy ludzkiej natury nie tyle go śmieszyły, ile bolały. Dlatego w dowcipie jego nie znajdziesz tego szalonego, bezmyślnego humoru, co w komedyi starożytnej, ale pod śmiechem poety dostrzeżesz prawie łzę perlącą się w źrenicy... Bo też Moliér nie zajmował się drobnostkami, nie ośmieszał w komedyi śmiesznostek powszedniego życia, które jakkolwiek są ludzkiemi, nie są wypływem logicznym natury, nie są objawieniem się jej niezbędnem, mającem swe prawo bytu na każdym gruncie, w każdej atmosferze moralnej. Moliér brał za tematy swych utworów grzechy i słabości. Stanowisko poety w obec nich było poważnem, jak stanowisko lekarza, trzymającego za puls pacyenta i badającego, jak długo w takim stanie chory jeszcze przeżyje? Kreślił on takie choroby, które będąc skutkiem jakiegoś defektu psychicznego, wyrodzić się muszą a wyrodziwszy, owładają całą istotę człowieka, pchają go w kierunku wyłącznej namiętności, czyniąc go niezdolnym do wszechstronnego pełnienia poważnej misyi życia.. Śmiesznostki życia nikogo nie mogą na dłuższy czas przerazić czy zmartwić, ale robak toczący ludzkość od wieków i obiecujący ją toczyć po wieki, może słusznie myślącego człowieka zaniepokoić a poetę rozgoryczyć. Te to więc namiętności, wzdymające wieczyście łono świata, jakkolwiek w świetle komicznem przedstawione, były tematem Molierowskiej fantazyi. Gdy po komedyach wyzyskujących przypadkowy komizm życia odnosimy wrażenie żartu powiadając: to jest na scenie i dosyć jest dobre, ale w życiu może i

nie być! — po komedyi Moliéra wzdychając szepcemy sobie na ucho: niestety! tak jest w życiu! cóż tu robić, aby się poprawić, oczyścić, udoskonalić?... a pytam czy nie takie być powinno wrażenie sztuki? chyba że teatr będzie czczym kalejdoskopem obrazków bez treści i bez żadnej podstawy moralnej!..

I w tem był Moliér twórcą mistrzowskim, że w kompozycyi swoich charakterów umiał jednoczyć wszystkie potrzebne rysy, nie tworząc postaci urywkowych, ale obejmując w ramach obrazu całość duszy. Stawiał on swoje figury przed widzami nie tylko w pojedyńczych fazach życia, ale w całym ich stosunku do świata i natury. Patrzmy na Harpagona. Widzimy jego pożycie w obec sług, dzieci, władz rządowych, uciech tego świata, widzimy go w obliczu najważniejszego faktu, jaki w życiu wewnętrznem człowieka zajść może, — w obec zamierzonych ślubów małżeńskich. I czyliż w każdym razie zachowanie się jego nie jest w najwyższym stopniu prawdziwem, a zarówno czyliż w niem nie ma wszystkich żywiołów najszczerszego komizmu?

Nie chciejcie mówić, że Moliér się przeżył. Naprzód powiedziałbym, że kto żył już dwa wieki, ten ma w sobie przymioty nieśmiertelności... Ale co więcej — w komedyach Moliéra żyje w gruncie rzeczy wszystko tak, jak dzisiaj. Zmieniły się warunki życia, zmieniły się akcesorya sceniczne, ale pozostała prawda jego charakterystyki i umiejętność przeoblekania jej we formy wysoko artystyczne. Kto nie maluje kolizyi urojonych, nie może się przeżyć. Byłby ten jednak krytykiem pełnym uprzedzeń, ktoby chciał widzieć przeżycie się Moliéra np. w kłótni Kleanta z ojcem... Jakkolwiek i dziś synowie kłócą się z rodzicami, to jednak chociażby rysunek był za jaskrawym, któżby dla lekkiego szat archaizmu przepominał o potężnych kształtach klasycznego ciała? A drugi zarzut, że Moliér jest za szorstkim i za trywialnym, czyż się ostoi w obec wyższych pojęć o naturze piękna? Zostawcie rolę czynienia takich zarzutów jedwabnemu Boileau, ale wy, synowie realizmu, nie wymyślajcie, bobyście taką krytyką pokręcili karki Moliéra i razem—Szekspira... A ponoś taka droga byłaby dla samych krytyków najbardziej karkołomną.

Są artyści lekkomyślni, którzy w postaciach, jak Tartuffe, Harpagon widzą tylko stronę komiczną, nie widząc demonicznej namiętności, której one uległy w tym stopniu, że powinny obudzać nie tylko śmiech lecz i politowanie... Są to ludzie przepełnieni namiętnością tak dobrze, jak bohaterowie Aeschylosa i Szekspira, tylko że ta ich namiętność nie występuje pod formą grozy tragicznej, ale w pozornie lekkiej szacie humoru.

Kto więc nie zrozumie, że motywem duchowym Harpagona jest namiętność, chorobliwy temperament, kto będąc artystą, nie położy takiego piętna na tej postaci, ten ją sfałszuje, wywołując pusty śmiech na usta, a nie plodne w moralny skutek rozmyślanie w głowie. P. Rapacki (Harpagon) tak ją właśnie pojmuje; nie zacierając strony komicznej charakteru, podkłada jej tło poważniejsze, tło silnej namiętności, wyprężającej członki jego ciała zarówno silnie, jak strony jego duszy... Dlatego możemy łatwo umotywować grę p. R. w scenie rozpaczy po ukradzeniu szkatułki, wobec zarzutów przesady. Są pewne charaktery, dla których osądzenia należy dobierać zupełnie innych kryteryów, jak w powszedniem życiu. Postacie wyjątkowe, jak Harpagon, nabierają takiej excentryczności w swym całym układzie, w całej grze swej fizyognomii, w całej anatomii swych ruchów, że te formy zarówno wyborne, jak excentryczne, jakie nadał p. R. swej postaci w chwili rozpaczy, są uzasadnionemi naturą samego charakteru. I owszem — powiedziałbym, że ta scena jest mistrzowską; słusznie ktoś obok mnie siedzący powiedział, że w grze p. R. nad utratą skarbu rozpaczał nie tylko Harpagon, ale każdy jego muszkuł, każdy włosów kosmyk, każdy fałd sukni.. Równie wyborną była scena mizdrzenia się w obec Eufrozyny; bladym tylko, mozajkowym i nie powiązanym jednolicie był akt V. w grze pana R. Z zanadto wielką flegmą przyjmował szereg ciosów weń godzących i za mało odbijał na sobie wrażenia sytuacyi. Ton jednakże zgryźliwego, ciągłem czuwaniem zmęczonego starca, który nie ma już uczuć, chyba tylko wybryki chorobliwej fantazyi, jak ów cały projekt zaślubin z Maryanną, był ujętym właściwie i konsekwentnie przeprowadzonym. Zarzucić tylko musimy artyście charakteryzacyę przesadną, sprowadzającą powagę sztuki do karykatury.

Przedstawienie „Skąpca" w małej tylko części się powiodło. Tylko pani Doroszyńska (Eufrozyna) i p. Doroszyński (Jakób) dali nam postacie żywe i typowe, wysoce komiczne a zarazem utrzymane zawsze we właściwej mierze, chociaż panią D. prosilibyśmy o pewne lekkie umiarkowanie przesadnej ruchliwości; zresztą jednak artyści, mający w swych rękach do odtworzenia postacie bledsze, ale zarazem dosyć ciekawe, mało ku temu łożyli trudu, a niektórzy nawet w chwilach, gdzie płacz na miejscu, pozwalali sobie niewczesnych śmieszków, czego nie wolno się dopuszczać w sztuce Moliérowskiej, chociażby rola była tak małoznaczącą, jak rola — Elizy.

Wolę w panu Rapackim widzieć przedstawiciela Moliéra, niż Szekspira. We środę (d. 22. b. m.) grał *Jagona* w „Otellu". W kilku już miejscach pisałem obszerniej, jak pojmuję tę postać i jaki rodzaj gry może jedynie ją uprawdopodobnić. Nie pora mi dziś już wykazywać szereg niekonsekwencyi psychologicznych, w jakie popaść musi artysta, pojmując rolę Jagona tak, jak to uczynił p. R. Jeden tylko ton wydał nam się w grze jego całej właściwie ujętym i w dwóch pierwszych aktach jednolicie przeprowadzonym — ton rozpustnego cynizmu... Na dwa też pierwsze akty on wystarcza. Gdy jednak Jago powikłaniem przez się stworzonem, potęguje się sam w postać o szatańskim zakroju, trawioną wewnętrznym niepokojem i nabiera z każdem nowem spiętrzeniem się trudności tem sprężystszego zacięcia w zbrodni, p. R. grał te sceny z apatyczną flegmą, nie przedstawiając nam postaci w jej stopniowym rozwoju i pozbawiając ją tem samem poetycznego interesu. Można być „nałogowym" pijakiem, ale na scenie „nałogowy" morderca nie jest pomysłem ani bystrym, ani dramatycznym, ani pięknym... *Bronisław Zawadzki.*

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

ODCZYTY. W Sobotę (d. 18 b. m.) miała w sali ratuszowej odczyt pani Stefania Wechslerowa: „*O Wiktorze Hugo.*" Był to jeden z najgruntowniejszych odczytów, jakie słyszeliśmy. Pani W. pragnęła w nim obronić tego wzniosłego i czułego poetę od czynionych mu ustawicznie zarzutów czczości w pomysłach a emfazy w wyrażeniach. Od czasów Juliana Szmidta nepotyczna krytyka lubowała się w podobnem traktowaniu najszczytniejszych utworów Hugona. Jest to dobrze, że rehabilitacya poety, sprzyjającego tak bardzo Polsce i ludzkości, wyszła z ust Polki—i to w tak świetny, tak zacny sposób. Głębokie swe poglądy na ducha Hugonowskiej poezyi wypowiedziała prelegentka językiem obrazowym bez przesady i poetycznym bez patosu. (*Br. Z.*)

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ułanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.